

J. BRAUN.

„DEMON FILMU“

10

Dax zaś, który o wschodzie słońca miał się udać do miasta, odwiedził przedtem księżniczkę Rikszę w jej kajucie. Zszedłszy do wnętrza statku po ciemnych, wązkich schodach minął parę zakrętów i węzłów korytarza, prześliznął się obok oddziału kotłów parowych, gdzie na tle piekielnej purpury pieców uwijały się jak djabły postacie półnagich palaczy, dotarł do ukrytej głęboko na dnie, zaryglowanej jak loch podziemny — kajuty.

Wszedł do środka.

Niewielki pokój o zasłoniętych kotarą okienkach, przez które nie dochodził nawet szum przelewającej się wody. U sufitu płonęła fiołkowa, mglista lampa przyćmiona abażurem o kształcie smoka. Wszędzie kobierce, makaty, zasłony, wszędzie rozwłózione wiotkie, muślinowe welony i szale z obwisającymi kolorowymi frenzlami.

Na rozścielonych na podłodze matach, z głową wspartą na dłoni leżała w cudownej pozie zdumiewająco piękna kobieta. Czarne, prawie granatowe kędziory rozlewały się falą po wezgłowiu, na białej jak alabaster twarzyczce płonęły, jak gwiazdy głębokie oczy o aksamitnym wyrazie. Małeńkie, krwawe usteczka zacisnęły się naokoło ustnika wysadzanej klejnotami fajki.

Palila opjum.

Mały, półnagi chłopak indyjski o dziwacznie tatuowanej skórze klęcząc przyrządzał następną fajkę...

Dax podszedł bliżej i skłonił się uroczyście, krzyżując na piersiach ręce.

Riksha powoli, leniwie podniosła nań oczy.

Biła z nich jakaś niezrównana, obca jasność, coś, jakby dojrzała, syta pełnia białej księżycowej nocy — wionęła od nich mądra rozkosz bezdennego upojenia. Wielki, jak morze czarny falował pod zasłonami jedwabistych rzęs, ujęty, jakby w półkłęgi szeleszczących, podzwrotnikowych lasów, w ich czarną oprawę.

Opjum...

Palila tak przecież dzień i noc, prawie nie śpiąc i nie jedząc, bez przerwy. Jej snem był ociążały bezwład odurzenia, pokarmem i napojem wchłaniany wciąż przez równo falujące piersi narkotyk...

Daleko od niej był strach ziemski i złość i troska i paląca gorycz monotonnie wlokącej się codziennej szarugi. Żyła w królestwie cudów Abrakadabry, czarnoksiężskie zaklęcia głębokich wdechów wywoływały przed jej oczyma gorący, fanatyczny przepych nieziemskich wizji...

Żyła za ścianą życia, za światem, w oderwaniu od wszystkiego i od wszystkich.

Oto księżniczka Riksha...

Czyż to ta sama gwałtowna, jaskrawa złoźnica rzucana namiętnościami, jak ciało epileptyka, zdradziecko uciekająca w czarną noc indyjską ze skarbem Kaszmiru na objuczonych słońcach do obozu dzikiego kochanka?

Tamta Riksha skończyła się.

Żyje obecna... Opjum uczyniło z niej półboginię.

— Dżariputta przybył? — pytała sennym głosem.

— Tak najdroższa. Przyjechał ze zdobyczą.

— To dobrze. Czy będziesz palić opjum?...

— Teraz nie, kwiecie asoki. Jadę do stolicy...

— Jedź. Wracaj zwycięzcą. Do widzenia sahibiel...

— Żegnaj rozkoszy moich warg i oczu...

Dax skłonił się powtórnie i wyszedł szybko z kajuty.

Riksha wzięła z rąk chłopca następną fajkę.

ROZDZIAŁ XI.

Próby wyjścia z matni.

— Hej tam! Dick! Dekoracje pierwszego aktu!

— Gotowe...

— Chłopcy... Jak tam lampy?

— W porządku wszystkie.

— Uwaga... Wnet przystąpimy do zdjęć.

Sekretarz łączył się pospiesznie z gabinetami aktorek i aktorów... Dzwonek terkotał bez przerwy, pytania i odpowiedzi sypały się jak z rękawa.

— Miss Marburg. Proszę do atelier...

— Jeszcze nie jestem gotowa.

— Boże, jak pani marudzi.

— To ten nieznosny fryzjer. Dłubie i dłubie mi we włosach i wyguzdrać się nie może.

— Proszę o pośpiech. Reżyser lada chwila przybędzie.

Nastawił aparat na inny numer...

— Halloo!!

— Tutaj Smith!

— Panie, na miłość Boską, przędź na dół!...

— Pali się, czy co u licha!

— Wszystko przygotowane. Zdjęcia za chwilę.

— Zaraz, zaraz. Już idę.

Aktorzy zchodzili powoli ze swoich apartamentów.

Wpadł reżyser...

Czytanie nowego scenariusza.

Ten sam, co zwykle proceder.

Zdjęcia...

Po paru godzinach reżyser przerwał intensywną, wytężoną pracę. Podziękował aktorom i udał się do laboratorium, gdzie pod kierunkiem jego doświadczonych chemików wywoływano świeżo „wykręczone” obrazy.

W laboratorium wrzała gorączkowa praca. Chemicy kontrolowali pilnie, przeglądali zdjęcia. Ze specjalną pieczołowitością kręcili się około „Gabinetu hypnozy filmów”, skąd dochodził brzęk tłuczonych kul kryształowych i plusk płynu puszczanego z rezerwoarów w system połączonych rurami wanierek.

Zgrzytały przekęcane kurki. Ludzie w białych chałatach wyjmowali długie taśmy z naczyń, rozwijali je i suszyli na metalowych walcach, poczem zwijali w ciasne twarde kłęby.

Specjaliści od finezyjnych „tricków” i tajemniczych sztuczek krajali taśmy, spajali je w różnych miejscach i kładli jedno odcinki na drugie, poddając je różnorodnym działaniom chemicznym, pod wpływem których obrazy zacierały się lub nabierały wybitnie ostrych konturów, przelewały się jedne w drugie i z dwu lub trzech części składowych tworzyły jeden fragment. Gdzieindziej wirażowano filmy nadając im barwy i oświetlenia według wskazówek scenariusza.

Na pierwszoplanowych zdjęciach głów i wyrazistej gry twarzy zamazywano tło, by silnie retuszowane oblicza wystąpiły jak najwydatniej.

Reżyser jednym rzutem oka ogarniał każdy dział pracy, spostrzegał błędy, poprawiał i rzucał od czasu do czasu pochylonym nad stołami chemikom genialne rady, uwagi i pomysły...

Nagle obejrzał się.

Smith stał we drzwiach laboratorium.

— Pan chce ze mną mówić, „doktorze wtajemniczony”? (Tak zwał Smitha od czasu odkrycia mu swych tajemnic).

— Tak — odparł lakonicznie Edgar.

Brown wyszedł szybko na korytarz, zamykając starannie drzwi za sobą.

— Służę — rzekł uprzejmie.

— Panie Brown, niech mi pan wybaczy. Niezmiernie mi było miło być panu pomocnym przy ostatnich zdjęciach, ale sądzę, że teraz...

— Oho, nie z tego!..

— Jeszcze nie skończyłem...

— Wiem, co pan chcesz powiedzieć...

— No proszę...

— Żadasz pan, bym go zwolnił z obowiązku. Wszak się nie mylę?

— Zgadłeś pan, reżyserze.

— Niemożliwe!

— Dlaczego?

— Jest mi pan wciąż jeszcze nieodzownie potrzebny.

— Ależ to przekra za już wszelkie granice przyzwoitości, kochany panie Brown. Pańskie postępowanie jest conajmniej niedelikatne... — irytował się Edgar. — Zrozum pan, że ja nie jestem pańskim niewolnikiem. Wtajemniczyłeś mi pan w swoje wielkie plany — bardzo dobrze. Porwałeś mi, obużyłeś nawet pewien zapal dla twojej sprawy. Ale, do licha, ja też mam swoje przyzwyczajenia i interesy, których nie mogę aż do tego stopnia zaniedbywać. Mam swój tryb życia i nie może mnie pan zmusić, bym od niego odstąpił. Chcę widzieć ludzi miasto, teatry i ruch tłumów. Chcę odetchnąć świeżym, szeroką przestrzenią i powitać znów swoich bliskich, znajomych i przyjaciół, z którymi nie zdołałem się nawet zkomunikować po powrocie z dalekiej podróży. To przekłete porwanie popsuło mi wszystkie szyki. Puść że mnie pan raz wreszcie na światło z tego dusznego, elektrycznego więzienia!...

— Dość. To wykluczone. Pan się niepotrzebnie unosi!

— Więc odmawia pan mej uprzejmej prośbie?

— Niestety jestem zmuszony...

Smith zmarszczył brwi groźnie.

— I jeszcze jedno — zagrzmiał. — Poczynam się już potrosze orjentować w pańskich właściwych zamiarach. Oczy otwarły mi się. Panie Brown, niech pan mi już nie mydli oczu górnolotną gadaniną o ideałach. Pańskie cele są przyziemne i zbrodnicze. Pańska działalność jest szkodliwa dla społeczeństwa i musi wydać zgniłe, zatrute owoce. Nie chcę już więcej przykładąć ręki do tej gangrenującej świat roboty!!!

Brown śmiał się...

— Niech pan się nie śmieje tak ironicznie. Niech pan tego nie lekceważy. Ostrzegam pana, że chociaż jestem pańskim więźniem na twojej łasce i niełasce, potrafię postarać się o interwencję policji w tej sprawie.

— Co? policja?

— Tak.

— Ha-ha-ha...

— Pan się znów śmieje!?

— Ależ mister Smith, zaręczam panu, że z pomocą policji nie wydobędzie się pan stąd nigdy.

— To ostatnie słowo?

— Ostatnie. Pozatem jeszcze radzę panu być posłusznym i oczekiwać dalszych rozkazów. Zresztą — pańskie trudy i przykrości zostaną sownie wynagrodzone brzęczącą monetą...

— Gwizdam na to! — krzyknął Edgar.